

Siemna nasza Polska cała

Oplata uiszczona gotówką

Nr. 3 (26) Rok IV.

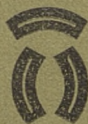
MŁODY  
KRAJOZNAWCA  
ŚLĄSKI

CENA POJEDYNCZEGO EGZ. 20 GR.

W. Lipp

# SPIIS RZECZY

1. Zwyczaje wielkanocne na wsi śląskiej . . . . .	Str. 1
2. Słowiańska osada bagienna w Biskupicach . . . . .	4
3. Z letniej wędrówki . . . . .	6
4. Spisz, Orawa i Czacza, ziemie polskie w Czechosłowacji, o których zapominamy . . . . .	8
5. Z wycieczki wakacyjnej w Beskidy Zachodnie . . . . .	11
6. Knurowskie obrzędy pogrzebowe . . . . .	13
7. Katastrofy kopalniane na Śląsku w niedawnej przeszłości . . . . .	15
8. Coś niecoś o Piekarach Śląskich z okresu powstań . . . . .	19
9. Rok obrzędowy na Kaszubach . . . . .	22



KTO ZA MŁODU NIE OSZCZĘDZA,  
TEGO PÓŹNIEJ CZEKA NĘDZA.

A TY?

CZY NALEŻYSZ JUŻ DO S. K. O.?

## Zwyczaje wielkanocne na wsi śląskiej.

Po niedzieli palmowej wolno mijają dni wielkiego tygodnia. Smutno jest wtedy i cicho, gdyż lud śląski odznacza się wielką pobożnością i surowym przestrzeganiem form i przepisów kościelnych. Dopiero w ostatnich dniach przedświątecznych ruch w gospodarstwie śląskiego rolnika się wzmacnia. Wszystko się czyści, myje i przestawia, przygotowując dom na uroczyste święta.

W Wielki Czwartek zawiązuje się na wieży kościelnej dzwony, które od tej chwili zastępują drewniane klekotki. Odgłosy ich słychać nie tylko koło kościoła, ale i koło gospodarstw, gdyż chłopcy chętnie biegają z nimi koło domów. Te drewniane odgłosy nie razią jednakże ucha, jakkolwiek w mieszkaniach zdejmuje się nawet wagi od zegarów, ażeby te biciem nie zakłócały atmosfery powagi i skupienia. Post jest teraz przestrzegany aż do surowości, stosuje się go nawet do dzieci, które chodzą po domu na wpół głodne, a domagać się jedzenia nie mogą, gdyż za to jeszcze pasem oberwią, aby pamiętały, że w tym czasie wszystkim się umartwić należy. W niektórych okolicach w Wielki Czwartek chłopcy wyszukują w domu wszystkie stare miotły, wynoszą je na dwór, zapalają i biegają z nimi

po polu rzekomo na pamiątkę tego, jak żołnierze szukali Chrystusa w Ogroju.

Zaś wieczorem w Wielki Czwartek ojciec rodziny w otoczeniu domowników robi z poświęconej palmy krzyżyki, które następnie w Wielką Niedzielę po sumie wetknie w swoje pole.

W Wielki Piątek nad ranem, niekiedy już o godz. 3-ciej, spieszą wszyscy, starzy i młodzi, do najbliższego potoku lub stawu, aby się obmyć na pamiątkę przejścia Chrystusa przez rzeczkę Cedron, po czym wracają w milczeniu do domu. Niektórzy rodzice, budząc rano swe dzieci, biją je po rękach, wymawiając słowa: „Boże rany oplakane“, co znowu ma być pamiątką biczowania. Według dawnych wierzeń ludu śląskiego w Wielki Piątek czarownice odbywają swój kiermasz i wyprawiają różne harce. W nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę można było spotkać czarownice, które kradły gospodarzom trochę gnoju i unosiły go do swych chlewów, a przez to rzucały urok na bydło, od którego ten nawóz pochodził. Przewidujący jednak gospodarz, chcąc uchronić swoje bydło od uroku, wnosił w Wielki Piątek z powrotem w czas rano trochę gnoju do stajni, gdzie było bydło, wskutek

czego czarownica traciła nad tym bydlęciem władzę.

Wielka Sobota jest dniem ostatecznych przygotowań do świąt wielkanocnych. Zaraz z rana udają się wszyscy na ceremonię święcenia ognia i wody. Każdy z wiernych a w szczególności dzieci pragną przynieść choć trochę popiołu, lub niedopalonego ogarka, ażeby go następnie wrzucić w domowe ognisko.

Popołudniu dziewczęta poświęcają na przygotowaniu „kraszonek“, czyli pisanek. Kraszonki przygotowuje się zwykle w ten sposób, że najpierw n. p. barwi się całe jajko na żółto, następnie powleka się je woskiem i na tej woskowej pokrywie wydrapuje się igłą rozmaite desenie. Teraz wkłada się jajko do wody inaczey zabarwionej n. p. na czerwono, a po wyjęciu jajka z wody usuwa się wosk i otrzymuje się tym sposobem żółtą pisanekę z czerwonymi deseniami. Oczywiście barwy i desenie można dowolnie kombinować. Od stopnia zdolności i przedsiębiorczości dziewczyny zależy piękno wyglądu pisanek. Barwniki do kraszonek wyrabiano dawniej wyłącznie w domu, posługując się ogólnie w wsi dostępnym materiałem, a więc z wygotowania łusek cebuli otrzymywano kolor żółty, z młodego żyta zielony, z kory olchy czarny, itd. W ostatnich czasach coraz częściej używa się farbek, kupowanych w drogeriach, albo nawet kalkowych odbitek, nieładnych i robiących wrażenie tandetnych. Oczywiście, że i zwyczaj barwienia kraszonek ma też swoje uzasadnienie w podaniu ludowym, które mówi, że robi się to na pamiątkę tego, że jakiś wieśniak idący z koszem jaj na targ do Jerozolimy, pomógł Chrystusowi nieść krzyż, a Chrystus na pamiątkę tego zamienił mu

jajka w koszyku z białych na kolorowe.

Podczas gdy młodzież, a głównie dziewczęta, zajęte są sporządzeniem kraszonek, gospodyni nie próżnuje, ale krząta się koło świątecznego pieczywa. Wśród tego pieczywa poczesne miejsce zajmują t. zw. „święcenniki“, to jest dwa pszeniczne chleby, naznaczone krzyżem.

Zbliża się rezurekcja, chwila ważna i podniosła.

W niektórych wsiach śląskich dochował się dotąd zwyczaj, że kiedy w Wielką Sobotę rozwiązuje się dzwony, gospodarz wychodzi z siekierą do sadu, aby ściąć to drzewo, które nie rodziło owoców w ubiegłym roku. W tej chwili, w której chłop zabiera się do ścinania, wybiega z chałupy gospodyni i prosi go, ażeby drzewa tego jeszcze nie ścinał, gdyż odtąd zaczniesz rodzić. Wierzy się bowiem, że po takim zabiegu drzewo rzeczywiście w roku przyszłym zaczniesz owocować. W innych znowu wsiach, gdy odezwiają się dzwony na rezurekcję, gospodarz wraz z gospodynią udają się do sadu, aby potrząsnąć drzewami, gdyż wierzy się, że to zapewni tym drzewom liczne i dobre owoce. Wieczorem po powrocie z rezurekcji pakuje gospodyni do koszyka „święcenniki“, kielbasę, szynkę, jajka, chrzan itp., gdyż rano w niedzielę pójdą z tym wszystkim wystrojone dziewczęta do kościoła, aby te dary Boże poświęcić. Przyniesione „święcone“ obnosi się trzy razy dookoła domu, aby chleba w ciągu całego roku nie zabrakło. Nie we wszystkich wsiach święci się „święcenniki“ w niedzielę, w niektórych robi się to już w sobotę rano.

W niedzielę wielkanocną, skoro tylko suma się skończy, każdy gospodarz stara się jaknajwcześniej wrócić do domu, wierząc, że przez

to zboże na jego polu wcześniej dojrzeje i że prędko będzie je mógł zwieźć do sąsiaka. Kiedy już cała rodzina powróciła po nabożeństwo, zasiadają wszyscy uroczyście do obiadu, z utęsknieniem wielkim oczekiwanego przez wszystkich, a zwłaszcza przez wygłodniałą długim postem młodzież. Obiad wielkanocny zaczyna się od ceremonii dzielenia się poświęconym jajkiem. Zgłodniali członkowie rodziny z lubością zabierają się do spożycia apetycznych zapasów „święconego“, a więc kielbasy, szynki i innych specjałów. Wszystko to smakuje w dniu tym nadzwyczajnie, zanim jednak będzie mógł każdy dobrać się do święconego, musi jeszcze każdy spożyć trochę chrzanu, na pamiątkę, że i Chrystusa napojono zółcią. Resztki święconego dostają zwierzęta domowe.

W Wielką Niedzielę zwykle nie przyjmuje śląski gospodarz gości, ani sam nie wychodzi z domu, tak samo i pozostała rodzina, gdyż dzień ten jest uważany za zbyt poważny, ażeby wypadało gdzieś iść. To też panuje w domu zwykle nastroj pogodny, członkowie rodziny, a zwłaszcza starsi skupieni wokół siebie, opowiadają sobie o ważniejszych zdarzeniach, jakie się im w życiu przytrafiły, opowiadają o dawnych czasach, albo też różne legendy, opowieści itp. Tak upływa pierwszy dzień świąt.

Drugi dzień świąt, Poniedziałek Wielkanocny, w odróżnieniu od Wielkiej Niedzieli, ma już inny charakter. Jest dniem radości i wesela, upragniony przez młodzież i jakgdyby dla samej młodzieży ustanowionym. Dzieje się to dlatego, że z dniem tym jest związanych szereg zwyczajów, przeznaczonych dla młodych. Już wczesnym rankiem można ujrzeć na ulicach wiej-

skich chłopców, uwijających się z bańkami pełnymi wody, polujących na dziewczęta, które, jeśli się im niebacznie pod rękę nawiną, zlewają tak dokładnie wodą, że suchej nitki na nich nie zostawia. Jest to tradycyjny śmiguś, albo śmirgus, czyli dyngus. Ma on być pamiątką tego, że żydzi obawiając się, ażeby niewiasty, powracając od grobu Chrystusa, nie rozniosły wieści o Jego Zmartwychwstaniu, rozpedzali je w ten sposób, że oblewali je wodą.

Jakby tam z tą legendą nie było, wpływ jej widać choćby i w tym, że i dziś oblewa się przeważnie niewiasty. Za narzędzie do oblewania służy na wsi każde naczynie. Młodzieniec, zalecając się do jakiejś dziewczyny, udaje się wczesnym rano do jej domu, ażeby ją polać i otrzymać w zamian za to piękną kraszonce. Niekiedy jednak dziewczyna jest sprytniejsza i upredza takiego kawalera, wylewając mu z zasadzki wiadro wody na kark. Oczywiście, że powoduje to odrazu rewanz, który nieraz kończy się nawet zaciągnięciem ofiary pod studnię, z pod której chydwoje wychodzą jak topielecy. Nadmiernie złane dziewczęta, niby to bardzo się gniewają na chłopców, lecz jeśli panny nikt nie obleje, czuje się ona wzgardzoną i obrażoną na swoich znajomych chłopców.

Kiedy kawaler, zjawiwszy się w domu panny, oblał ją i sam został oblany, mówi:

„Przyszołech tu po śmiguście, Tylko mnie tu nie opuście. Dejcie jojek pienc, To byda wasz zienć.“

Wygłosiwszy tą orację, otrzymuje jedną lub kilka kraszonek.

Oprócz kawalerów, oblewających swoje panny, chodzą od domu do domu i dzieci w wieku szkolnym, które oblewają gospoda-

rzy i wygłaszają przy tym wierszyk, jak na przykład:

„Jo tu przyszedł po śmiguscie,  
Ale mnie tu nie opuście.  
Kromka chleba podarujcie,  
Kopa jajec narachujcie“.

Wprawdzie gospodyni nigdy im kopy jaj nie narachuje, lecz jedno albo nawet i dwa da, a kromki chleba, a nawet kołacza nigdy nie żałuje. Prośba śmigustników nie jest więc daremną.

Po skończonym śmiguscie, ci którzy najwięcej jajek zbiorą, urządzają różne zabawy i gry o jajka. A więc na przykład, dwóch chłopców toczy z przeciwnych stron jajka po ziemi i które z nich prędzej się stłucze, tego właściciel przegrywa.

Śmigus jest najweselszym zwyczajem wielkanocnym i dlatego przedłuża się go w niektórych okolicach i na następny dzień, to jest na wtorek po świętach wielkanocnych. W tym dniu rehabilitu-

ją się dziewczęta, starając się przydybać jakiegoś chłopca, a wtedy zleją go niemilosiernie. Niekiedy dziewczęta okładają chłopców prętami wierzby, czego ci oczywiście nie pozostawiają bez odpowiedzi.

Tak więc kończą się święta wielkanocne, a ze świętami przemijają piękne i radosne zwyczaje z nimi związane. Zwyczaje te, jakkolwiek wiele z nich jest dotąd żywych, powoli zanikają. Nie wszyscy ludzie wiedzą, że większość ich stanowi cenne zabytki kultury naszego kraju i że dlatego należy je chronić przed zanikiem, a jeśli już to jest niemożliwe, przynajmniej przed niepamięcią. I tutaj Wy, Młodzi Krajoznawcy, możecie dużo zrobić, zbierając i spisując stare pieśni i legendy, czy opisy zwyczajów ludowych, aby te, wszędzie wśród naszego ludu porozrzucane pomniki jego pradawnej, własnej a nie zapożyczonej kultury uchronić od zatracenia.

C. M. BEDZWAŁEK

## Słowiańska osada bagienna w Biskupicach

(Ciąg dalszy)

Zanim przejdę do opisywania prac wykopaliskowych, muszę najpierw wspomnieć, w jaki sposób wogóle doszło do odkrycia tych zabytków.

Otóż w roku 1933 kierownik miejscowej szkoły zauważył na brzegu jeziora wystające z wody ukośne pale, a od właściciela tego gruntu dowiedział się, że w czasie kopania torfu znajdowano na tym półwyspie obrabiane pale i zabytki przedhistoryczne. Zainteresowany w tym kierunku kierownik, zawiadomił o odkryciu prof. uniwersytetu poznańskiego, dr. Kostrzewskiego, któ-

ry przyjechał na miejsce i po rozkopaniu gruntu w kilku miejscach i natrafieniu na rozmaite obrabiane drzewa, orzekł, że są to szczątki osady przedhistorycznej, pochodzącej z początku epoki żelaznej. Objasnień tych udzielał nam po drodze przewodnik, kiedy przechodziliśmy z rekonstruowanej chaty do terenu wykopalisk i podążamy za nim najpierw, aby zobaczyć te wystające ponad wodę jeziora pale, które przyczyniły się do odkrycia całej osady. I istotnie, w miejscu огоłoconym z trzcin, widzimy kilkanaście grubych pali,

na wierzchołkach których, woda powyżłabiła głębokie wręby. Przewodnik objaśnia, że grunt, na którym stoimy, był już rozkopany w r. 1935, ale po dokonaniu obserwacji, pomiarów i fotografii, na nowo zabytki przysypano ziemią, ażeby nie uległy zniszczeniu pod działaniem powietrza i światła.

Idziemy teraz dalej, do miejsca, gdzie 80 robotników rozkopuje ziemię małymi łopatkami, lub też nawet łyżkami kuchennymi. Każdą grudkę ziemi rozgniatą się zaraz w rękę, czy aby czasami nie znajduje się tam jakiś drobny choćby zabytek. Nad tym, aby żaden cenny dla nauki przedmiot nie został uroniony, czuwają studentki i studenci Uniw. Pozn. wydziału prehistorycznego. Ubrani są oni w długie gumowe buty, gdyż jak już wspomniałem, jest to grunt bagnisty, i po wybraniu ziemi wydobywa się na powierzchnię woda podskórna, ażeby więc wogóle można było pracować, musiano zainstalować moto-pompę, która wypompowuje wodę i wylewa ją do jeziora. Studentki więc i studentki stoją między robotnikami we wodzie i znalezione zabytki składają do koszyków.

Mogłoby to wydawać się przesadą, iż tyle znajduje się tam zabytków, że do ich pomieszczenia trzeba aż kosztów, ale jest to faktem autentycznym, gdyż w mojej obecności na przykład znaleziono kilkanaście kamieni obrabianych, kawałki waz glinianych, żarna, służące do mielenia zboża, kości zwierząt i wiele innych drobnych przedmiotów.

W poprzednim artykule nadmieniałem już, że osada biskupińska została zbudowana na półwyspie, wrzynającym się w jezioro gaśawskie. W dalszej części teraz będę chciał omówić rozplanowanie osady, sposób budowy chat, wału obronnego, falochronu, następnie opowiem, jakie były najprawdopodobniej losy osady, coś o ustroju społecznym mieszkańców i o śladach innego osadnictwa na półwyspie.

Do września 1936 r. odkryto na przekopanym terenie sześć równoległych ulic biegnących ze wschodu na zachód i połączonych ulicą okrężną, biegnącą mniej więcej półkolisto i równoległe do brzegu jeziora, po wewnętrznej stronie wału obronnego. Ulica okrężna była jedynym połączeniem tych sześciu poprzecznych, równoległych ulic, tym niezbędnym, że wszystkie domy, zbudowane rzędami wzdłuż tych ulic i nie posiadające pomiędzy sobą żadnych przejść, posiadały tylko jedno wejście od strony południowej, a były go pozbawione od strony północnej. Chcąc więc dostać się na najbliższą ulicę równoległą, trzeba było dojść do końca tej, przy której się mieszkało, a potem dopiero ulicą okrężną przejść do następnej. Takich ulic poprzecznych, jak można wywnioskować według wielkości półwyspu, było zapewne przynajmniej drugie tyle. Czy w dalszej, niezbadanej jeszcze dotychczas części osady, znajdowały się jakieś połączenia pomiędzy owymi ulicami równoległymi poza drogę okrężną, czy istniał może w osadzie jakiś plac niezabudowany, służący jako miejsce zebrań, sądów, czy targów, tego narazie nie zbadano, a mogą to wykazać dopiero przyszłe rozkopywania. Brak uliczek łączących, konieczność używania ulicy okrężnej dla przejścia z jednej ulicy równoległej na drugą, stanowiły pewne utrudnienie dla mieszkańców, jednakże trzeba wiedzieć, że nie była to zwykła osada, lecz forteca, gdzie należało wykorzystać każdy cal ziemi, a względy na wygodę schodziły z koniecznością na drugi plan. Tendencja do jaknajdokładniejszego wykorzystania miejsca, wyraża się też w tym, że wszystkie domy, stojące przy jednej ulicy, przylegały bezpośrednio do siebie, stykając się szczytami, a nieraz mają wprost wspólne ściany szczytowe. Ulice są szerokie około 3 m. i wyłożone grubymi palami dębowymi.

W poprzednim artykule omówiłem

już, jak wyglądało wewnątrz chaty biskupińskiej, a teraz opiszę samą technikę budowy tych chat. Do tego czasu odkopano 46 domów, zbudowanych w technice łątkowo-sumikowej. Na rogach domu wbijano cztery słupy, t. zw. „łątki”, zaopatrzone na całej długości w dwa żłobki pionowe, wycięte pod kątem prostym do siebie dla wpuszczania w nie, poziomych belek, t. zw. „sumików”, układanych na siebie. Dla umożliwienia użycia krótszych belek ustawiono w środku ściany pomiędzy słupami narożnymi podobne, ale płaskie słupy z analogicznymi, lecz przeciwnymi wycięciami pionowymi. Takie też, płasko obciosane słupy, stanowiły odrzwia, z tą różnicą tylko, że od strony drzwi miały ściany gładkie, a tylko od strony zewnętrznej zaopatrzone były w żłobki pionowe dla wsuwania sumików. Odrzwia domów, a także łątki śródścienne umocowano nieraz bardzo umiejętnie, ażeby zapobiec grząźnięciu ich w bagnie. Wiercono mianowicie otwór w dolnej ich części, przetykano przez ten otwór palik i podpierano go kilkoma poprzecznymi drażkami, położonymi na powierzchni torfowiska. Ze ścian domów zachowały się oczywiście tylko części dolne, przeważnie odnaleziono po trzy belki poziome, leżące ponad sobą. Wysokość domów biskupińskich możnaby jednak określić na podstawie odnalezionych słupów (łątek) z pionowymi żłobieniami do wsuwania sumików, których z rozebranych domów u-

żyto do budowy ulic, podłogi lub zrobiono z nich krótsze belki poprzeczne (sumiki). Na podstawie tych właśnie zachowanych łątek możemy powiedzieć, że ściany domów miały 2,50 do 3 m. wysokości. Poprzednio już wspominałem, że na środku izby wznosił się słup, który służył jako podpora śłemia, t. j. belki środkowej, podtrzymującej dach. Z umieszczenia tych słupów, przeznaczonych do dźwigania śłemia, wynika, że nad izbą główną wznosił się dach dwuspadowy, przedsionek natomiast musiał mieć osobny dach ukośny o innym nachyleniu. Dachy poszczególnych domów, stojących w jednym rzędzie, łączyły się najprawdopodobniej ze sobą bez przerwy.

Osada biskupińska założona została na gruncie torfiastym, a domy były o cały metr niżej położone od dzisiejszego poziomu półwyspu. Był to grunt wilgotny, niehigieniczny, ale za to przedstawiał dużą wartość obronną: Z trzech stron otoczony wodą, a z czwartej rozległymi bagnami. Ponad to jeszcze otoczono półwysp wałami ziemnymi, ujętymi w konstrukcję drewnianą. Przy kopaniu znaleziono przy brzegach półwyspu doskonale zachowane dolne części obronnych konstrukcyj drewnianych, t. zw. „izbic”, wypełnionych ubitą ziemią i wznoszących się do wysokości kilku metrów ponad ówczesny poziom półwyspu.

(ciąg dalszy nastąpi)

SOWIŃSKA —  
Gimn. żeńskie, Chorzów.

## Z letniej wędrówki

Stefa! pobudka! wstawaj!

Ostatnia pobudka i już dziś zwijamy obóz. Jak prędko minęły te trzy tygodnie! Szkoda!

Stefa przeciągnęła się leniwie, zie-

wnęła kilka razy, a wychodząc z namiotu z przymkniętymi oczami, wybelkotała tylko: „— hm, szkoda!” —. Więcej nie chciało jej się już mówić. W tej



chwili napewno więcej żałowała snu, niż obozu.

Hejnał wypadł bardzo anemicznie. Stefa zaczęła wreszcie otworzyć jedno oko. Inne jeszcze nie wiedziały czy śpią, czy nie. Każda pysznie wyglądała w kolorowej piżamie, lub szlafroku, z rozczochraną głową i zaspną twarzą.

(O, zakochani studenci z Chorzowa! Jak wielkie byłoby wasze rozczarowanie, gdybyście zobaczyli swe „Serca” przy rannej pobudce!).

Leniwie poszliśmy się umyć, do Wiśłoka. Płynął cicho, jak zwykle tworząc srebrną wstęgę na polach Godowej. Po drugiej stronie rzeki iskrzyły się w słońcu dachy miasteczka Strzyżowa. O! takie zwykle, małe miasteczko, jakich pełno jest na pograniczu woj. krakowskiego i lwowskiego. A jednak polubiłyśmy je.

— „Ostatni raz!” — powiedziała Stefa smętnie, ale już zupełnie przytomnie, otrzeźwiona zimną wodą.

Nie było jednak czasu na sentymenty. Zaczynał się „dzień z mokrą głową”. Od rana pakowanie, rozbijanie prycz, zwijanie namiotów, zasypywanie dołków. Obiad spóźniony o godzinę, podwieczorek o dwie.

Obóz zniknął z powierzchni ziemi. Cztery jasne namioty „klapnęły” bez życia na trawę. Wszędzie panował ruch, bałagan i praca. Tylko Janka nie przejmowała się niczym. Leżała miedaleko na górcie i oddawała się swej namiętności: opalaniu się. Wysmarowana była maśłem, bo Nivei już zabrakło.

Właściwie należało ją ściągnąć stamtąd i zapędzić do roboty, ale wiedzieliśmy, że nie przyda się to na nic. Janka — to leń notoryczny i zawodowy. Zjawiała się między nami dopiero wieczorem, gdy wszystko już było gotowe, a rzeczy odwiezione do dworu. Tam miałyśmy przespąć jeszcze ostatnią noc, a rano wyruszyć na 10-dniową wycieczkę. Trasa: Brzozów, Haczów, Rymanów,

Iwonicz, Dukla, przełęcz Dukielska, Miejsce Piastowe, Krosno. Potem z powrotem pociągami do Strzyżowa po pozostawione „manatki” i do Chorzowa.

Stefa żegnała się rzewnie z każdą trawką i każdym kwiatkiem. Jedną tylko rzeczą pocieszała się: — Mam nadzieję, że na wycieczce będzie jeszcze morowiej i jeszcze cudowniej. A wiecie, ile nas idzie? 13! — zakończyła złowrogo.

— „Świat jest piękny!” — zawyrokowała Danka w chwili, gdy zdobyła najlepsze miejsce na furce, mającej nas zawieźć z Brzozowa do Haczowa. Przy tym z lubością spoglądała na torebkę cukierków za psie pieniądze nabytych w pobliskim sklepie.

— Od głodu, ognia, wojny i od takich przyziemnych dusz, wybaw nas Panie! — jęknęła wzniosła Wanda. — Przecież ten Brzozów - Zdrój, cichy, ukryty wśród lasów jest poprostu cudowny, a ta o cukierkach myśli...

Ale Danka nie przejęła się tą przemową i napychała się cukierkami aż do samego Haczowa. Byłyśmy strasznie ciekawe, jak ta wieś właściwie wygląda, bo tyle nam o niej już naopowiadano: że taka czysta i bardzo kulturalna i ludzie inteligentni i wogóle wieś nie taka jak wszystkie inne.

Czystość i zamożność chat rzeczywiście uderzyła nas odrazu, a o jej niezwykłości przekonał nas ładny pomnik stojący w środku wsi.

— Wieś, w której stawia się pomniki! Pierwszy raz widzę — dziwiła się Stefa.

Dla zdobycia wiadomości o wsi poszliśmy do nauczyciela. Ten znał doskonale historię Haczowa i chętnie podzielił się nią z nami:

„Haczów, leżący nad Wiśłokiem i jego dopływem, rzeką Morwą założony został na podstawie prawa niemieckiego przez Kazimierza Wielkiego. Pier-

wszymi mieszkańcami wsi, nie licząc garstki Polaków, byli Szwedzi i Niemcy. Wskazują na to nazwiska, jak np., Ekiert, Jaktor i t. d., a nawet nazwa wsi Haczów pochodzi prawdopodobnie od niemieckiego — Hansdorf. Ludność wsi szybko wzrastała i bogaciła się, w XVII. wieku jednak przeżyła kilka katastrof. Wojny kozackie, szwedzkie i moskiewskie zniszczyły wieś zupełnie. Dopiero osadnicy z sąsiednich wsi zaludnili ją z powrotem. W roku 1780 rząd austriacki sprzedał ją niejakiemu Urbańskiemu i do dzisiaj jest Haczów w ich posiadaniu.

Haczowiaczy dzielnie walczyli o wolność Polski w wojnie światowej, wielu poległo i właśnie na cześć tych, postawiono pomnik, który jest teraz ozdobą wsi.

Dwór dbał zawsze bardzo o poziom szkolnictwa i już w roku 1867 zatwierdzona została pierwsza szkoła stała, a teraz jest we wsi 7 sił nauczycielskich.

Ludność wsi dawniej napływowa spolszczyła się już zupełnie. Wyodrębniła się jednak z pośród sąsiadów swoistym temperamentem i — dumą. Tak, Haczowianie są bardzo dumni, ale też mają z czego. Wieś stoi na wyjątkowo wysokim poziomie kulturalnym, chłopcy czytają gazety, należą do wielu towarzystw, („Czytelnia ludowa“, „Krucjata“, S. M. P. i t. d.), duży odsetek mło-

dzieży kształci się w szkołach w mieście. Ta niezwykła wieś wydała już sporą grupkę inteligencji, która połączyła się w „Związek Haczowiaków“, założony w roku 1900 przez tamtejszego kierownika szkoły. Haczowiaczy rozsypani są po całej Polsce i tylko co 10 lat odbywają się wspólne ich zjazdy“.

Wszystkich wiadomości o Haczowie słuchaliśmy z zainteresowaniem. Przydałoby się, żeby w Polsce więcej znalazło się takich wsi. Tutaj już nawet dzieci pracują „na polu kulturalnym i społecznym“. Tak w każdym razie orzekła Wanda, gdy w ochronce zobaczyła dziewczynki szyjące kostiumy na przedstawienie, które wkrótce mają odegrać. Wielkie też było jej zdumienie, gdy okazało się, że przystojny chłopak, dojący krowy w pobliskiej stajni ma 6 klas gim. Naprawdę dziwna wieś.

Na zakończenie zwiedziłyśmy jeszcze stary, podobno 500-letni kościół drewniany, w którym znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej Bolesnej. Według legendy przypląnął on tutaj Wisłokiem, a ludność umieściła go na ołtarzu.

Danka zrobiła kilka fotek i ruszyłyśmy do następnego etapu wycieczki— Rymanowa. Pogoda trochę się zepsuła, ale humory nie. Jedyńie Janka wdychała od czasu do czasu: „Przy czym ja będę się opalała?“

(c. d. n.)

(J.)

## Spisz, Orawa i Czacza, ziemie polskie w Czechosłowacji, o których zapominamy

O Polakach w Czechosłowacji mówi się u nas i pisze dość często. Ile razy jednakże jest mowa na ten temat, rozumie się przezeń Polaków na Śląsku zaolzańskim, Śląsk zaolzański jest nie-

wątpliwie najważniejszym terenem polskim w Czechosłowacji, jest terenem, którego utratę najdotkliwiej odczuliśmy i z którą to utratą najtrudniej się nam pogodzić. Nie jest jednak terenem

jedynym. Nie wolno nam bowiem zapominać, że obok starej piastowskiej ziemi śląskiej są w Czechosłowacji jeszcze i inne ziemie, zamieszkałe od wieków przez ludność polską. Są to ziemie: Czaczy, Orawy i Spisza. Dziwnie jakoś obecnie cicho u nas o tych ziemiach. Po krótkim zajęciu się nimi w okresie tworzenia się granic współczesnej Polski zapomniano o nich zupełnie. Ten brak zainteresowania się naszymi południowymi etnograficznymi kresami budzi u ludzi, nie znających istotnych stosunków, wrażenie, że południowa granica naszego państwa jest zarazem granicą etnograficzną i że na południe od tej granicy mieszka żywioł obcy. Tymczasem jednak tak nie jest. A może się o tym przekonać każdy, kto uprawiając turystykę, przekracza granicę czechosłowacką na długim, 200 z górą km długości liczącym, pasie, od przełęczy Jabłonowskiej aż po przełom Popradu. Wszędzie, na całej tej bezmała przestrzeni, napotykamy ludność góralską, mówiącą tą samą gwara, noszącą często jeszcze te same stroje i pielęgnującą te same odwieczne polskie obyczaje, co i górale po naszej stronie granicy. Słowaków, a tym bardziej Czechów nie ma tam prawie zupełnie. Reprezentuje ich co najwyżej tylko zarndarm, lub nauczyciel, często sklepikarz, wiejski, oraz właściciel przedsiębiorstwa przemysłowego, jeśli takie na terenie danej wsi niekiedy się spotyka. Tak będzie, gdy znajdziemy się na drugiej stronie granicy zarówno w okolicach Zwardonia, Pilska, czy Babiej Góry, Czorsztyna, czy Szczawnicy. Cały wzdłuż granicy północnej ciągnący się pas ziemi jest etnograficznie polski. Stwierdzić to może, bez wielkich dociekań, każdy, kto posiada zdrowe nogi i dla kogo turystyka nie redukuje się tylko do „odwalania” pewnej ilości kilometrów, czy godzin marszu.

Pas ten, nie jednakowej szerokości, bo niekiedy wynoszący zaledwie kilka, kiedy indziej kilkadziesiąt kilometrów,

podzielić możemy ze względów geograficznych, administracyjnych, a częściowo i historycznych na 3 części, a mianowicie na okręg Czaczy, Orawę i Spisz.

Zaznajomijmy się chociażby najpobieżniej z każdą z tych trzech części.

Okręg Czaczy, najdalej na zachód położony, stanowi przedłużenie ku południowi Śląska Cieszyńskiego. Położony w dolinie Górnej Kiszuczy, okręg ten obejmuje miasteczko Czaczę i 12 wsi, jak Skaliste, Maków, Oszczadnica, Wysoka, Swierczynowiec itd., o łącznej ilości około 50 tys. mieszkańców, z pośród których ponad 90% mówi językiem polskim. Okręg Czaczy przez długi czas należał do Śląska Cieszyńskiego i dopiero stosunkowo późno stał się częścią północną Węgier, a po wojnie światowej Czechosłowacji.

Orawa, to ten najdalej w Polskę wciśnięty kąt Słowaczyny, położony między dwoma naszymi terytorialnymi półwyspami: żywieckim i podhalańskim, w dorzeczu rzeki Orawy, od której bierze swą nazwę. Obszar to znaczny, bo liczący około 2 tys. km. kw., liczył przed wojną światową 90 tys. mieszkańców, z pośród których połowę stanowiła i stanowi dotąd ludność polska, zamieszkująca zwartą masę północne części Orawy. Południowa połowa Orawy jest zamieszkała przez ludność etnograficznie słowacką. Przez krótki stosunkowo okres pierwszych trzech niespełna wieków naszej historii należała północna część Orawy do Polski. Później dostała się do Węgier, tworząc w nich Komitat orawski.

Spisz jest stosunkowo najwięcej znaną, bo historycznie najdłużej z Polską związana ziemią. Spisz liczy blisko 4 tys. km<sup>2</sup> i ponad 180 tysięcy mieszkańców. Tutaj obchodzi nas jednak nie cały Spisz, lecz tylko północna jego część w dorzeczu Popradu, który ją swym systemem rzeczonym wiąże z Polską. Te to północno-spiskie ziemie, okolice Lubowli i Podoljńca od zarania niemal na-

szych dziejów należały do Polski. Były to bowiem tereny górskiej kolonizacji, która doliną Popradu przedzielała się w średniowieczu na drugą stronę Karpat. Osadnicy polscy na Spiszu, pozostawieni swemu losowi i pozbawieni zupełnego poparcia i opieki ze strony rozbitej na dzielnice Polski, zostali opanowani przez królów węgierskich, którzy masowo osadzali na Spiszu kolonistów niemieckich. Utratę Spisza powetowała sobie Polska za Władysława Jagiełły. W roku 1412 układem w Lubowli pozyskał dla Polski Władysław Jagiełło 13 miast spiskich za cenę 37 tys. kóp groszy, jako część kwoty, należącej się Polsce od sprzymierzeńców Zygmunta Krzyżaków, za wykup jeńców krzyżackich z pod Grunwaldu. Mimo późniejszych prób, podejmowanych przez Węgry, przez 350 lat pozostawał Spisz przy Polsce, aż dopiero w roku 1769, korzystając z osłabienia Rzplitej, zagarnęła go Austria, dając tym hasło do rozbioru Polski.

Ludność ziemi czadeckiej, orawskiej i spiskiej, jakkolwiek zamieszkała na tych ziemiach od wieków, zawsze była pozostawiona sama sobie, bo odcięta od innych polskich ziem łańcuchami górkimi. Ten lud ubogich pasterzy, rolników i robotników leśnych trwał mimo tego przy polskiej mowie, pielęgnował polskie zwyczaje i obyczaje, ale świadomości narodowej polskiej nie miał.

W okresie porozbiorowym ludność ta była zawzięcie wynaradawiana przez Węgrów, a później i przez Słowaków, którzy, wpajali w tą ludność przekonanie, że jest słowacką. Słowackie szkoły i wpływ słowackich proboszczów doprowadziły do tego, że językiem kościelnym i książkowym naszych górali stał się język słowacki. Świadomości narodowej lud nie miał prawie wcale.

W tę wyjąłowaną narodowo głębię góralskiego ludu zaczęła siać ziarna

świadomości narodowej na krótko przed wojną światową garść ludzi, którzy zetknąwszy się z ludnością tych ziem, rozpoczęli pracę, nad jej narodowym rozbudzeniem.

Praca tych budzicieli polskości zaczęła niebawem przynosić rezultaty, ale przerwała ją wojna światowa. Pogrom Austro-Węgier, jaki ostatecznie w r. 1918 nastąpił, otwierał i przed ludnością okręgu Czaczy, Orawy, oraz Spisza możliwości przyłączenia do Polski. I rzeczywiście drobne oddziałości polskie obsadziły północną część Orawy i Spisza docierając do Kieżmarku.

Niestety, niebawem wycofały się wojska polskie z tych ziem, a z Czechami, którzy właśnie wtedy ukazali się na Spiszu i Orawie, zawarto układ, ustalający tymczasową linię demarkacyjną, na linii dawnej granicy galicyjsko - węgierskiej. Działacze spiskoorawscy przede wszystkim Ks. Machay, nie dawali jednak za wygraną. Ks. Machay, w towarzystwie górali Wojciecha Halczyzna ze Spisza i Piotra Borowego z Orawy jeździł do Paryża, ażeby wyjednać sprawiedliwość dla swoich rodaków. Dzięki niez mordowanym zabiegom tych ludzi Rada Najwyższa zaproponowała urządzenie plebiscytu, ale tylko w dwóch powiatach orawskich, oraz w powiecie Stara Wieś Spiska.

Niestety i ten niewielki stosunkowo obszar nie miał w całości dostać się Polsce. Wszystko zapowiadało, że plebiscyt wypadnie dla nas korzystnie, jednak wobec groźby bolszewickiego zalewu, Polacy musieli się zgodzić na propozycję zaniechania plebiscytu i rozstrzygnięcie sporu przez Radę Najwyższą. Ta, wydała w dniu 28. VII. 1920 r. decyzję, na podstawie której Polska otrzymała zaledwie drobne skrawki Orawy i Spisza. Na ogólną ilość 38 wsi polskich i 48 tysięcy ludności polskiej na Orawie, zaledwie 12 wsi z 14 tysiącami mieszkańców przypadło Polsce. Jeszcze mniejsze skrawki przy-

padły Polsce na Spiszu, bo na 50 wsi, zamieszkałych przez ludność polską, otrzymała zaledwie 13 najuboższych wiosek z 8 tysiącami ludności, pozostawiając po stronie czechosłowackiej ponad 30 tysięcy ludności polskiej. Ogółem więc przypadło Polsce ze Spisza i Orawy 583 km<sup>2</sup> z 23 tysiącami ludności. Jeśli więc doliczymy i okręg czadecki, który całkowicie pozostał przy Czechosłowacji, na wszystkich trzech terenach pozostało pod panowaniem czeskim najmniej 75 wsi i znacznie ponad 100 tysięcy ludności polskiej.

Los Czaczy, Orawy i Spisza został rozstrzygnięty. Słupy graniczne odgrodziły polskich mieszkańców tych ziem od kraju, do którego powinni byli należeć. A zaledwie umilkły odbijające

się o góry echa wbijania słupów granicznych, minęło u nas krótkotrwałe zainteresowanie się tymi ziemiami. Zapomniano u nas szybko o tysiącach naszych braci na Spiszu, Orawie i Czaczy, których od wolnej Polski oddzieliła granica obcego państwa, a dla których ta niepamięć jest zabójczą, gdyż oddaje ich ostatecznie na łup całkowitego już wynarodowienia.

Czas już jednak najwyższy, ażeby sobie ponownie o tych ziemiach przypomnieć, ażeby rozpocząć na nowo przerwana pracę nad rozbudzeniem ich polskości, która mimo narzuconego pokostu czechosłowackiego dotąd jest jeszcze dość żywa, ażeby się odrodzić.

O tym winniśmy pamiętać i nie dać polskości tych ziem na oczach naszych ginać.

GL. POL.-NOW.

## Z wycieczki wakacyjnej w Beskidy Zachodnie

(dokończenie)

Milówka jest wsią ogromnie rozległą i ciągnie się na znacznej przestrzeni wzdłuż szosy. Widać tu także dużo kuracjuszków, lecz już nie tyle, co we Wiśle, czy Ustroniu. Nie ma tu nic ciekawszego z wyjątkiem kościoła katolickiego. Kościół jest wielki i murowany. Wnętrze przedstawia się dosyć ładnie, lecz nie ma w sobie nic charakterystycznego. Znajduje się tu też poczta. Mieliliśmy wrażenie, że znajdujemy się w jakimś Oświęcimiu, czy Będzinie, gdyż na każdym kroku spotkaliśmy starozakonnych, w brudnych chałatach. Za Milówką założyliśmy oboz. Tutaj przyszedł, do nas jakiś bezrobotny, który mówił, iż pochodzi z Chorzowa i pracuje tu przy budowie szosy. Jak powiedział, obrzydła mu już

Milówka i gdyby znalazł pracę w Chorzowie, z chęcią wróciłby z powrotem... Koło wieczora stanęliśmy na Hali Boraczej, (1144 m), gdzie nie daleko schroniska nocowaliśmy w szałasie. Schronisko należy do Żydowskiego Towarzystwa Turystycznego i sprawia bardzo miłe wrażenie. Jest nowe i budowane w nowoczesnym stylu. W szałasie spędziliśmy dwa dni, gdyż z powodu deszczu i gęstej mgły, jaka nas tam nawieździła, nie mogliśmy nigdzie się ruszyć.

Na trzeci dzień jakoś się pogoda zmieniła na lepsze. Udaliśmy się tedy w dalszą drogę, na Halę Lipowską, — (1324 m), na której znajduje się nowo-wybudowane schronisko „Beskiden Vereinu“. Z Hali Lipowskiej idziemy przez Marszałkową, (1177 m.), na Pils-

ko, (1557 m.). Pilsko należy w części do Polski a w części do Czechosłowacji.

Po stronie polskiej widać schronisko P.T.T. Na szczycie znajduje się pomost z belek, aby tym lepiej móc podziwiać słiczną okolicę, ale do tego potrzebna jest naturalnie piękna pogoda.

Z Pilska udajemy się do leżącej u jego stóp, Jeleśni.

Jeleśnia jest także letniskiem podgórskim i niektórzy wrożą jej świetną przyszłość. Posiada ona rzeczywiście wszystkie warunki, potrzebne do tego: Leży blisko gór, posiada dworzec kolejowy, można stąd urządzić ładne wycieczki. Jeleśnia jeszcze dotąd nie ma takiego wyglądu, jak inne miejscowości letniskowe górskie.

Nie ma tam jeszcze uregulowanych strumieni, ani dobrze utrzymywanych ulic. Jedynie dobry jest most kolejowy i drogowy na Koszarawie, która tutaj jest już dość szeroka. Na uwagę także zasługuje kościół katolicki, który chociaż nie jest zbyt zabytkowym, to jednak warto go zwiedzić.

Z Jeleśni podążamy szybkim marszem przez Przyborów, Pewel, Sporysz i wiele innych wsi do Żywca. Idziemy ciągle szesą, obok rzeki Koszarawy, na której pełno jest mostów kolejowych i drogowych. Wsie, któreśmy minęli, nie mają już charakteru wsi górskich, lecz raczej nizinnych. Na całej przestrzeni, aż do Żywca, towarzyszą nam ciągle góry, które widać już coraz to dalej i jakby zamglone. Przypisujemy to pogodzie. A może oczy nasze zamgłiły się, gdyśmy ostatni raz patrzeli na nasze góry. Któż wie...

Nareszcie wchodzimy do Żywca. — Żywiec jest miastem niewielkim. Słynie on z dywanów, oraz piwa żywieckiego. Są tu także wielkie warsztaty stolarskie i tartaki. Po stwierdzeniu, że do czasu odjazdu pociągu pozostaje nam jeszcze całe 6 godzin, wybieramy się więc, aby bliżej obejrzeć miasto.

Wchodzimy do parku arcyksięcia Karola Stefana i tu podziwiamy małe wodospady, jakie są utworzone na rzece, przepływającej przez park.

W Żywcu znajduje się szereg starych zabytkowych kościołów. Są to: Kościół św. Krzyża, mały, lecz bardzo stary kościółek, dalej, obecny kościół parafialny, zbudowany w wieku XVI. Ten kościół jest już większy od poprzednich i posiada szereg przylegających do niego kaplic.

Posiada on dużą murowaną wieżę. Ostatnim jest kościółek drewniany z sobotami w Starym Żywcu. Jest on najstarszym w Żywcu. Widać też w Żywcu drewniane domy. Domy są przeważnie niskie, parterowe. Posiadają bardzo małe okna. Dachy kryte są gontami. Budowa tych domów odbiega od budowy domów górali beskidzkich, lecz można się doszukiwać cech wspólnych.

Na największą uwagę zasługuje w Żywcu bezsprzecznie zamek Habsburgów. Zamek ten został zbudowany w wieku XV, kilka razy jednak został zniszczony przez pożar, tak, że musiano go odnawiać gruntownie. Dlatego wygląd dzisiejszy różni się wielce od wyglądu pierwotnego. Ostatnią renowację przeprowadzono kilkanaście lat temu. Zamek jest starannie utrzymywany i widać, że znajduje się pod dobrą opieką.

Włóczyliśmy się jeszcze dość długo po Żywcu, lecz z powodu tego, iż nie było tam już nic więcej godnego zobaczenia, oraz że godzina naszego odjazdu już się zbliżyła, udaliśmy się powoli z starej części miasta, niezbyt dobrymi ulicami do bardziej nowożytnej i wkrótce stanęliśmy przed dworcem. Wreszcie nastąpił odjazd i po blisko trzytygodniowej włóczędce po górach, powróciliśmy do domu, zadowoleni z doznanych wrażeń i z mocną nadzieją, że jeszcze kiedyś zawitamy w te strony i odnowimy nasze wspomnienia.

Góry dały nam wiele wrażeń, dały nam wypoczynek i dodały nam nowych sił do dalszej pracy szkolnej. Do końca życia nie zapomnimy pięknych widoków gór, majestatycznie wznoszących się nad całą okolicą, nie zapomnimy tych

chat góralskich, tak miłych, choć niekiedy ubogich, tych przesłicznych ubiorów ludowych, tych kościółków i innych zabytków. Nie zapomnimy...

Koniec.

## Knuruwskie obrzędy pogrzebowe

Obok zwyczajów i wierzeń związanych z uroczystościami kościelnymi i wewnątrz rodzinnymi istnieją pewne zwyczaje towarzyszące ceremoniom pogrzebowym. Zanikają one daleko szybciej od poprzednio wspomnianych.

Okolo łoża umierających rodziców gromadzą się dzieci by odebrać błogosławieństwo rodzicielskie, które zapewnia powodzenie w życiu. Po udzieleniu błogosławieństwa umierający wypowiada ostatnią swoją wolę, która nie zawsze spisują. Do ręki umierającego wkładają gromnicę, a obecni zmagają odpowiednio modły za konających. Jeżeli po zgonie umarły ma oczy otwarte wówczas kładą na powieki monetę, ażeby nikogo z obecnych sobie nie wypatrzył.

Po umyciu ubierają umarłego w jego najładniejsze ubranie (np. w to, w którym szedł do ślubu), jakie po nim pozostało. Ludzi dorosłych ubierają w ciemne szaty, natomiast dzieci w białe. — Twarz dziewczynkę zakrywają ponadto białym welonem. Na nogi wkładają lekkie buciki, ażeby się łatwiej chodziło duszy. Do złożonych rąk wkładają książki do modlitwy i różaniec, a dokoła umarłego kładą obrazki kościelne. Nierzadko wkładają do kieszeni umarłego pieniądze, ażeby mu posłużyły na dalszą drogę.

Dawniej ubierano umarłych nieco inaczej. Na białą koszulę wdziewano spodnie (liniane) białe, a na to wszystko, dopiero kładziono długą, białą koszulę,

zwaną śmiertnicą. To był cały ubiór.

W pokoju, w którym leży umarły zakrywają lustro prześcieradłem i zatrzymują zegary w momencie jego zgonu. W jednym z okien otwierają lufcik, ażeby dusza umarłego mogła swobodnie wyjść. Zmarłego nie powinno się wołać po imieniu, bo może stanąć w trumnie.

Powiadają, że jeżeli chory ma umrzeć, dzieją się dziwne rzeczy np. krzyż zegar lub filiżanka spadnie ze ściany i nie potłucze się. Czasem pies żałośnie wyje albo coś zastuka w okno. Ludzie wierzą, że gdy człowiek umrze, to dusza jego jeszcze chodzi po świecie i żąda pomocy ludzkiej.

Bezpośrednio po śmierci dusza wędruje przed Sąd Boży, a później schodzi na ziemię i pokutuje. Niektórzy wierzą, że dusza wędruje po śmierci i wchodzi albo w dziecko albo w zwierzę. Jeżeli się spotka pokutującą duszę o 12 godz. w nocy, (bo wtedy tylko pokazują się ludziom), wówczas należy zapytać: „Duchu, czego żądasz?”. Duch każe wtedy coś wypełnić. Po spełnieniu rozkazu przez daną osobę, duch pokazuje się jej jeszcze raz w biegi. Gdyby coś w okno zapukało o 12 godz. w nocy nie wolno odpowiadać. Jeżeli ten, kto słyszał stukanie odezwie się, duch każe mu odbyć jakąś pokutę, np., ażeby szedł piechotą do Rzymu. Duch w ten sposób okupuje swoją pokutę. W razie niewypełnienia rozkazu ducha, osoba, która się odezwała, umiera. Nierzadko duch chodzi tak długo do jakiegoś domu i stra-

szy dopóki nie dadzą na mszę św. za spokój jego duszy.

Istnieje przesąd, że w tym domu, w którym przez piątek spoczywają zwłoki, ktoś jeszcze umrze. Albo dziecko, które za swego życia podniosło rękę na swoją matkę, to ręką tego dziecka podnosi się w trumnie tak długo dopóki jej matka nie uderzy. Ten, kto skrzywdził zmarłego za życia, zostaje ukarany przez niego przez postraszanie, kto natomiast pragnie uniknąć odwiedzin ducha, powinien na wszelki wypadek ścisnąć trupa za duży palec u nogi.

Niektórzy mężczyźni nie przejmują się zbytnio śmiercią swej żony. Opowiadają o nich, że ich to tyle dotknęło „kiedyby ich kot oknem uciekł”. Jak baba umrze, a w tym samym czasie krowa się ocieli, to chłop wnet się pogodzi z losem.

W trzecim dniu po śmierci odbywa się właściwy pogrzeb. Przychoǳą krewni i znajomi ubrani obowiązkowo w czarne ubrania, w wysokie cylindry na głowach. Przy wynoszeniu trumny z domu, uderzają nią lekko 3 razy o każdy próg, na znak pożegnania. Czasem krewni żegnają się z umarłym przez stukanie w trumnę tyle razy ile jest w domu schodów. Małe dzieci niosą na cmentarzu, dziewczęta (drużki) ubrane w białe sukienki z wiankami na głowie. Za trumną kawalera idzie dziewczyna („nie-wiasta”) w asyście dwu kawalerów, niosąc na poduszce wianek. Odwrotnie za trumną panny kroczy kawaler. Przed trumną postępują sami mężczyźni biorący udział w ceremoniach pogrzebowych. Za nimi kroczy ksiądz z organistą. Natomiast za trumną postępuje najbliższa rodzina, krewni, znajomi i wreszcie kobiety.

Ludzie mówią, że kiedy już są na cmentarzu, wówczas wszystkie duszyczki wieszają się na niesionej trumnie i dlatego ona jest taka ciężka. Po odprawieniu modłów ksiądz rzuca na trumnę

trzy grudki ziemi. Istnieje przekonanie, że dusza idzie zaraz po śmierci człowieka przed sąd Boży. Po osądzeniu jej wraca ku ciału i pozostaje przy nim aż do chwili rzucenia przez księdza owych grudek ziemi, po czym odchodzi według swego przeznaczenia.

Z cmentarza udają się krewni i znajomi do gospody, gdzie nieraz do późnego wieczora zajądają i popijają. Najlepszym pono lekarstwem na odzwyczajenie nałogowych pijaków od picia wódki jest woda, którą myto trupa, dodana do wódki.

Pewnego razu szedł chłop przez cmentarz, a była godzina 12-ta w nocy. Idzie i naraz potknął się o kamień grobowca. Usłyszał kroki i szelest i wtedy zobaczył zbliżającego się człowieka, ubranego na czarno. Za tym człowiekiem postępowało mnóstwo cieni. Skoro jednak tajemniczy człowiek skinął, cienie zniknęły, a postać ta kazała iść chłopu za sobą i otworzyła grobowiec, o który się chłop potknął. Wtedy weszli do środka. Chłop zobaczył drogę klejnoty, od których szedł oślepiający blask. Wędrowali po innych grobowcach. Chłopu zdawało się, że już dwa dni chodzi po podziemiach i ogląda bogactwa. Nagle tajemnicza postać zniknęła a chłop chciał iść do domu opowiedzieć o wszystkim co widział. Wychodzi z bramy cmentarza, a ona wydaje mu się jakaś inna, idzie na plebanie, pyta o proboszcza i dowiaduje się, że on już dawno umarł. Idzie do swoich i również się dowiedział, że ci już dawno pomarli. Dopiero wówczas zrozumiał, że był w grobie około 100 lat. Jeszcze żył długo, a przed śmiercią poszedł do owego grobu i tam umarł.

Placją Dzieżokówna

uczennica szkoły powsz. w Knurowie.



STANISŁAW LUBECKI.

## Katastrofy kopalniane na Śląsku w niedawnej przeszłości

### IV.

„CZARNA ŚMIERĆ” — TRZY-  
KROTNIE DUSI SWE  
OJCIARY...

„Górnik codziennie ubiera się w śmiertelną koszulę”. Przysłowie to tak obecnie jak i dawniej posiadało rację bytu. Do zawodu górniczego szczególnie stosują się słowa biblii: „Nie wiecie dnia ani godziny...”. Katastrofy górnicze, czy to w większych, czy też mniejszych rozmiarach dziesiątkowały stan ten tak w „dawnych dobrych czasach”, jak i w obecnej dobie zastoju gospodarczego. Taki bowiem jest los górnika od samego zarania istnienia tego zawodu. Kilka ogniw tego nieskończonego łańcucha tragedij podziemnych niechaj będą wydobyte z dziejów niedawnej przeszłości miasta Chorzowa. — Zapewnie tkwią one jeszcze w pamięci naszych weteranów z pod znaku kilofa.

Było to w dniu 1. sierpnia 1903 r. w godzinach wieczornych, w skwarnej porze letniej. Praca na szybie „Krug I” (obecnie szyb św. Jacka) — toczyła się swym zwykłym trybem. Załoga nocna dawno już rozpoczęła wydobywać z łona ziemi „czarny diament”, — wysyłając na powierzchnię jedną windę za drugą, w których mieściły się wózki napelnione tym cennym materiałem. Z właściwym sobie rytmem — niby z paszczy olbrzymiego potwora — wyłaniały się windy raz po raz z otchłani szybu, lub na przemian znikwały w nim. W powietrzu przesyconym nawskroś pyłem

węglowym, brzmiały harmonijnym dźwiękiem dzwonki sygnałowe, a z sortowni dochodził ogłuszający hałas mechanicznych rzeszot, oddzielających duże kawałki węgla od małych. Wszędzie wrzał ruch i gorączkowa praca.

Tymczasem w głębi kopalni w pewnej opuszczonej części pokładu „Gerharda”, — zdala od swych pracujących „w przodku” towarzyszy — sztygar Ignacy Gopoń razem z dwoma górnikami, zajęty był otwieraniem zatamowanego ganku, celem przewietrzenia zagazowanego oddziału i oddania go do ponownej eksploatacji. Żaden z trzech górników nie posiadał maski ochronnej, wszyscy bowiem byli przekonani, że z powodu dłuższego upływu czasu i zniszczenia w zarodku zabójczych gazów, nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Z łaskotem padały uderzenia kilofów w drewnianą zapórę, a Gopoń sam ręcznym swym kilofkiem pomagał górnikom i zachęcał ich do rażnej pracy. Górników jednak mimowoli ogarnął jakiś niesamowity lęk. Wrażliwa dusza górnika, stykającego się codziennie z tysiącami niebezpieczeństw, częstokroć przeczuwa złowrogą chwilę. — Dlatego też praca dzisiaj w nie bardzo celoczym tempie postępowała naprzód. Nareszcie runęły ostatnie przeszkody, ukazał się dosyć szeroki otwór, poza którym ziała czarna, nieprzenikniona ciemność. W chwili, w której sztygar Gopoń miał zamiar zbadać wydobywające się powietrze, — naraz z otworu buchnął czarny dym, aż nadto znany naszym pracownikom podziemi.

Przerażeni górnicy cofnęli się o krok w tył, — „Nazad!“ krzyknął Gopoiń ochryplym głosem. Były to ostatnie jego słowa. Zaczepnawszy za ledwie kilka oddechów, robiąc zwrot w tył, — upadł na wznak bez przytomności. Lampka, wypadając z bezsilnej ręki, z brzękiem runęła na ziemię. W tej chwili, chwytając się za piersi, upadł drugi z rzędu, — Bartoń, wijąc się w przedśmiertelnym kureczach. „Czar-na śmierć“ w postaci trujących gazów, niewidzialnymi dłońmi ścisnęła swe ofiary za gardło, dopóki te nie wydały ostatniego swego tchnienia. Trzeci natomiast górnik, o nadzwyczajnej wytrzymałości, broniąc się z nadludzką wprost siłą przed utratą zmysłów, — na wpół przytomny zdążył wypaść na boczny ganek, gdzie wiał nieco rzeświejszy prąd powietrza. Zaalarmowawszy ostatnim wysiłkiem kilku przypadkowo przechodzących towarzyszy, — upadł bez zmysłów na ziemię. Natychmiast zawezwane pogotowie ratunkowe, zaopatrzone w aparaty bezpieczeństwa i maski, — pod kierownictwem nadsztygara Heidricha, przystąpiło spiesźnie do ratowania nieszczęśliwych. Po odnalezieniu i wydobyciu ofiar poza obręb trujących wyziewów, przywołany lekarz zastosował natychmiast środki ratunkowe, które jednakowoż tylko u jednej z ofiar odniosły skutek. Natychmiast sztygara Goponia i cieślę górniczego Bartonia nie zdołano już wyrwać z objęć śmierci. Zanadto organizm ich, wskutek dłuższego przebywania w zabójczej atmosferze, przepojony był jadem gazu. Wszelkie wysiłki przywrócenia ich do życia, spełzły na niczem.

Pogrzeb obu ofiar był bardzo uroczysty. Liczny zastęp górników zęgnął poległych na posterunku

towarzyszy. Zwietrzałe już dziś pomniki grobowe, wznoszące się nad mogiłami zmarłych na ementarzu św. Jadwigi i ementarzu ewangelickim, oznaczają miejsce wiecznego spoczynku dwu ofiar poległych w służbie społeczeństw.

☆

W dniu 15. listopada 1905 r. podobny wypadek zdarzył się za ledwie o kilkadziesiąt metrów od miejsca katastrofy powyżej opisanej, również na pokładzie „Gerharda“. Było to w czasie nocej szychty ze soboty na niedzielę. Sztygar objazdowy Konieczko wybrał się w towarzystwie dozorey Siempkiego, rębacza Maciejewskiego, oraz strażaka Bajera celem przewietrzenia kilku sztolni z przylegającymi filarami, które swego czasu jako niebezpieczne dla kopalni wskutek powstania w nich gazów zostały zatamowane. Gwarzając między sobą, stanęli nasi górnicy na miejscu. Jako doświadczeni w podobnych wypadkach górnicy, — posiadali wszyscy maski ochronne, które przed rozpoczęciem rozbijania tamy przywdziali na siebie. Niestety po oderwaniu desek — dziwnym zbiegiem okoliczności, w niewyjaśniony sposób, maski gazowe okazały się wadliwe. Wydobywające się z otworu gazy w jednej chwili powaliły wszystkich na ziemię, pozbawiając ich przytomności, — z wyjątkiem jednego tylko Maciejewskiego, którego maska okazała się bez zarzutu. Zachowując przytomność umysłu, Maciejewski szybko zorientował się w grożącym niebezpieczeństwie. Celem ratowania swych towarzyszy, uchwycił najbliżej siebie leżącego za nogi, ciągnąc go w kierunku pobliskiej pochylni, gdzie świeży prąd powietrza wypierał trujące wyziewy w stronę prze-

ciwną. Nieszczęsny przypadek zrządził, że w czasie szamotania się z bezprzytomnym (był to Konieczko) — jeden z bocznych rzemyków od maski, którą Maciejewski sam sobie przywdział na głowę, — odpiął się, powodując przez to mały dostęp szkodliwej substancji do dróg oddechowych. Dzielny Maciejewski, walcząc całym wysiłkiem woli z wymiotami i omdleniem, zmuszony był pozostawić zwłoki towarzyszy swemu losowi i sam posuwając się chwiejnym krokiem, szukał posiłków. Natrafił też wkrótce na zbliżający się oddział ratunkowy. Urywaniem głosem poinformowawszy napotkanych o grożącej sytuacji, — upadł z wyczerpania w objęcia jednego z otaczających go, tracąc przytomność. Przewiezionego do szpitala Spółki Brackiej z trudem tylko zdołano przywrócić do życia. Bohaterską swą odwagę dzielny górnik odpłacić musiał kilkutygodniową chorobą.

W międzyczasie kolumna ratunkowa dotarła na miejsce wypadku. Wszystkie trzy ofiary znaleziono w pozycji leżącej bez znaków życia, wśród wciąż jeszcze wydobywających się z otworu gazów. Zatarasowano najpierw niebezpieczny otwór w tamie, po czym po poprzednim jeszcze ostrzeżeniu załogi podkładu Gerharda — otwarto nacięcie tamy służące do wentylacji powietrza. Powstały ostry przewiew powietrza usunął resztki zabójczych gazów, pędząc takowe szybko pomocnym na powierzchnię. Zastosowane powtórnie próby przywrócenia do życia nieszczęśliwych, pozostały bez skutku. Zwłoki odtransportowano na winde. Rozlegił się znany ponury dźwięk sygnału „wyciągać zabitych“ i trzech górni-

cy wyjechali na światło dzienne, którego już jednak nie byli w stanie oglądać.

Zwłoki wszystkich trzech zaezdzonych spoczywają na cmentarzu ewangelickim w Chorzowie.

✱

W roku 1908 nadechodził okres dorocznej uroczystości odpustowej, mającej się odbyć jak zwykle porą jesienną, w niedzielę, dnia 18. października. Katolicka ludność parafii św. Jadwigi tradycyjnym zwyczajem — na kilka dni przedtem czyniła przygotowania do obchodu odpustowego; matki piekły kolacze, dzieweczyny przyozdobiły sobie białe suknie, przygotowywały gałązki mirtu, by stanąć w bieli do procesji odpustowej. Również i mężczyźni - górnicy rozpoczęli czyścić swe ciemne mundury, bacząc przede wszystkim na to, by mosiężne guziki starannie były „wyblankowane“. Wszak kroczyć mieli jako kompania honorowa obok baldachimu. Niejedna żona i matka, wysyłając swego górnika do pracy, odzywała się do niego trwożliwym głosem: „Ty stary, uważaj tam jeno „w przodku“, wszak w czasie przedodpustowym o nieszczęście nie trudno! <sup>1)</sup> Lekkaważący uśmiech ze strony męża był jak zwykle odpowiedzią na takie przypuszczenia. Wszak myśl o nadchodzącej uroczystości, odwiedzinach krewnych z dalekiej okolicy, perspektywa kolacza i tym podobnych smakołyków nastrojała górnika szczególnie wesolością. Ktoby tam więc zważał na „babskie plajtury“.

Wśród takich okoliczności nad-

1) Dawniej panowało wśród ludu śląskiego przekonanie, że właśnie w czasie przed uroczystymi świętami najczęściej zdarzają się nieszczęścia przy pracy w kopalniach.

szedł dzień 14. października 1908 r. Poraz trzeci miało się zdarzyć nieszczęście kopalniane i to znowu na pokładzie „Gerharda“. Katastrofa miała miejsce właśnie pod kolonią „Agnieszki“, koło Józefowca. W oddziale tym bowiem również wyłoniła się potrzeba zbadania pewnego starego odcinka kopalnianego, który przed kilku laty jako zagrażający ogniem, został izolowany silnymi przegrodami. Obecnie zachodziło uzasadnione przypuszczenie, iż po samostłumieniu się ognia i gazów, odcinek ten bogaty jeszcze w zapasy węgla, będzie można ponownie oddać do eksploatacji. W tym celu wyruszył sztygar Rudolf Roter z odpowiednimi narzędziami, mając do dyspozycji praktykanta górniczego Gołę i cieślę Mzyka, na wskazane mu przez kierownictwo kopalni miejsce. Wkrótce też silne uderzenia kilofów wzbudziły potężne echo w tym zaciszu. Bohaterowie nasi byli mocno przekonani, że tym razem nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. To też po wybiciu otworu, — dosyć obszernego, by przedostać się poza murowaną oponę, sztygar Roter, jako kierownik ekspedycji, najpierw stwierdził, że gazów nie ma. Dla bezpieczeństwa i w myśl przepisów górniczych odczekano jednak kilka minut, by następnie przekroczyć próg. Uszedłszy jednak kilkanaście kroków naprzód, nagle zauważono ostry zapach tlenku, który prawdopodobnie ściągany prądem powietrza, dążył w kierunku wyrabianego otworu. Zaledwie okrzyk przerażenia zdołał wyrwać się z ust zaskoczonych, gdy już otoczeni zostali tumanami gryzącego dymu. W popłochu usiłowali ratować się ucieczką. — Zapóźno! Gola i Mzyk uszedłszy parę kroków wstecz, padli bez przy-

tomności na ziemię. Roter zaś, oszołomiony gazami, miał uciekać w stronę wejścia, — pędził w przeciwnym kierunku, skąd nowe i coraz gęstsze napływały fale gazów. Wkrótce i on uległ zaczadzeniu, a potknąwszy się upadł, by więcej nie powstać. Fale dymu zaś, wydobywając się przebitym otworem tamy, zaczęły rozszerzać się w najbliższych sztolniach, nawiedziły również stajnię, gdzie znajdowało się sześciu czworonożnych towarzyszyw górnik — koni, żujących swój szczerze zasłużony obrok. Biedne zwierzęta przeczuwając instynktownie zbliżające się niebezpieczeństwo, w pewnej chwili rżąc głośno, poczęły szarpać za łańcuchy. — Jednak nadaremno! Nie zdołały przerwać silnych ogniw żelaznych, a nikt nie przyszedł z pomocą by je puścić wolno. Wreszcie wysiłki koni słabły coraz bardziej, w miarę napełniania się stajni gazami, aż w końcu wszystkie padły obok swych żłobów.

Tymczasem kilku górników z pokładu „Gerharda“, zauważywszy w międzyczasie z oddali dobrze znany, niebezpieczny zapach tlenku, natychmiast wszczęły alarm. Dla załogi był to już najwyższy czas do zaniechania dalszej pracy i schronienia się w bezpieczne miejsce, albowiem gazy szybko rozszerzały się po gankach pokładu. Tedy cała załoga pokładu „Gerharda“ spiesznie uchodzić musiała w kierunku „szybu leśnego“, znajdującego się w lesie chorzowskim (tuż obok dzisiejszej „Doliny szwajcarskiej“), gdzie drabinami wyszła na powierzchnię.

Kopalnianej straży pożarnej, która niezwłocznie przystąpiła do walki z wrogiem żywiołem, udało się wreszcie unieszkodliwić niebezpieczne gazy, przy czym odnale-

ziono wszystkie trzy ofiary, które po bezskutecznych próbach przywołania do życia, odstawiono do kostnicy szpitala Spółki Brackiej w Chorzowie.

W niedzielę, dnia 18. października 1908 r. po uroczystych nieszporach odpustowych w kościele św. Jadwigi w Chorzowie, smutny orszak pogrzebowy posuwał

się z licznym udziałem władz i publiczności, odprowadzając zwłoki ś. p. sztynara Rudolfa Roterę na wieczny spoczynek. Zwłoki śp. Mzyka pogrzebano na cmentarzu w Chorzowie III, prochy zaś śp. praktykanta Goli na życzenie krewnych wywiezione zostały na wieczny spoczynek poza obszar G. Śl.

MIRKÓWNA STEFANIA

## Coś niecoś o Piekarach Śląskich z okresu powstań

Stary, zasłużony obywatel tu tejszej miejscowości, pan X, uznawany powszechnie za wybitnego budziela ruchu powstańczego, zachodzi często do naszej biblioteki ludowej i spędza tam dużo czasu. To czyta pisma, to przegląda książki, a także z chętnymi partnerami prowadzi ożywione dyskusje.

Znam go tylko z obserwacji, z opowiadań i ot tak z fragmentarycznej wymiany zdań w czasie różnych zebrań. Aż oto przed kilkoma dniami nadarzyła mi się sposobność do dłuższej z nim rozmowy.

Pewnego razu przyszedł do biblioteki. Oto jak wyglądała rozmowa:

— ... Skoro tak, to niech pan będzie łaskaw opowiedzieć coś niecoś o przeszłości Piekarów Śląskich. Chcę o tym wiedzieć coś więcej, coś ponad to, co piszą książki i gazety — mówię do niego po życzliwych słowach przywitania.

— To może zaraz odpowiem na te pytania, co to zaś chciała pani... jak to było u nas w czasie powstań, bo to najlepiej pamiętam...

I zaczął opowiadać, krótko, jasno i przejrzyście, jakby z umiło-

waniem tematu, wyrażał się tak czystą polszczyzną, że nie zdążyłam uchwycić ani jednego wyrazu gwarowego.

— Trochę tu było inaczej niż teraz — powiada. — Przede wszystkim brak było takiej rozbudowy dróg, jak obecnie. Z Piekarów w kierunku dzisiejszego dworca prowadziła zwykła droga. Była ona wąska, dzisiaj znacznie ją rozszerzono. Brak było chodnika wzdłuż lewej strony ulicy Piekarskiej i Mariackiej. Do Studzienki i do cmentarza piekarskiego prowadziły zaledwie wąskie ścieżki, a w parku znajdowało się tylko kilka drzewek. Wiele budynków prywatnych i instytucyj urzędowych powstało dopiero później, nie było na przykład obecnego gmachu pocztowego, ani komisariatu; urząd pocztowy mieścił się w domu prywatnym, a policyjny w budynku dzisiejszego urzędu gminnego, zaś tam, gdzie obecnie znajduje się poradnia przeciwgruźlicza, była szkoła ewangelicka. Muszę wspomnieć, że Szarlej i Piekary, jakkolwiek w czasie powstań i do niedawna jeszcze stanowiły osobne gminy, to jednak w pracy patriotycznej ściśle się ze so-

ba solidaryzowały. Opowiem więc o nich, jak gdyby to była jedna tylko miejscowość. Tak więc mieliśmy wówczas tylko jeden kościół pod wezwaniem N. M. P. w dzisiejszej dzielnicy Piekary. Na miejscu obecnego kościoła pod wezwaniem św. Trójcy, mieszczącego się w dzielnicy Szarlej, było targowisko i dopiero później powstała tu nowa parafia. Początkowo nabożeństwa odbywały się w jednej z hal fabrycznych i dopiero dzięki staraniom obecnego księdza proboszcza, Ledwonia, zaczęto budować nowy kościół, który do dziś dnia jest jeszcze niedokończony.

Wówczas nie mieliśmy jeszcze dworca kolejowego, nie przechodziły też przez naszą miejscowość linie kolejowe. Do pociągu wsiadało się na stacji Szarlej (obecnie dworzec towarowy) i na przykład do Chorzowa jechało się przez Bytom. Szpital Spółki Brackiej nie był jeszcze oddany do użytku publicznego, nie było w nim nowoczesnych urządzeń, szpital powiatowy posiadał także wiele braków i dopiero później go przebudowano. Taki był mniej więcej ogólny wygląd naszej miejscowości z okresu powstań.

Skończył i spojrzał na mnie, jakby wyczekiwał dalszego pytania.

— No, a jakby pan określił nastawienie tutejszego społeczeństwa do ruchu powstańczego, a w szczególności zaś chodzi mi o ówczesny stosunek kościoła, szkoły i organizacji do sprawy narodowej?

— Były u nas wtedy właściwie dwa obozy, Polacy robotnicy i Niemcy urzędnicy, dyrektorzy kopalń i wogóle panowie. Pierwsze i 2 powstanie, to jeszcze nie, była to robota konspiracyjna niewielu, ale już trzecie powstanie było naprawdę masowym poruszeniem prostych

robotników. Ile wtedy było zapału i wiary w Polskę! Nieraz, gdy się zejdziemy, wspominamy te czasy, jak się to ukrywaliśmy w piwnicach, jak to przemycałymi wiadomości, jak przygotowaliśmy powstanie... Trudno wymieniać tyle nazwisk tych ludzi, którzy pracowali dla świętej sprawy... Ale tak nam jakoś wtedy łatwo szło, niezegośmy się nie obawiali...

Nastąpiło milczenie, dopiero po chwili rzekł dalej:

— Pytała mnie pani o kościół i o szkołę?

— No tak, to mnie bardzo interesuje.

— Wspomniałem, że mieliśmy wówczas jedną parafię, której proboszczem był wtedy ksiądz Anders Eugeniusz, Niemiec, lecz do Polaków życzliwie ustosunkowany. Pamiętam jego kazania... Często wspominał na nich o Janie Sobieskim, o Kościuszcze, o Konstytucji 3-go Maja, przychodził też często na zebrania organizacji polskich. I tak na przykład przybył w tym czasie na „Kolendę“ związku „Sokoła“, która odbyła się w sali Ludygi Szymona. Był także wówczas obecny p. Rybarz, obecny nacelnik gminy w Łagiewnikach, oraz dyrektor Syska. Obaj wygłosili w obecności księdza Andersa bojowe wprost przemówienia. Większy jednak wpływ na polską ludność wywierał wikary, ks. Szule, obecny proboszcz z Koehlówie, on to w pielgrzymkach, przychodzących do Piekar z całego Śląska umacniał uczucia narodowe. Był to dobry Polak i dużo dla nas zrobił.

A w szkołach? — Wszystko było po niemiecku, tylko dzieci były polskie. Do opornych Polaków nauczyciele odnosili się surowo. Germanizowali polską młodzież przez akademie, wieczornice, w których brać musiała młodzież przymusowy

udział. Jedynym polskim nauczycielem był wtedy u nas Polak z Kongresówki, pan Skowron, późniejszy inspektor szkolny na powiat tarnogórski. Teraz zdaje się jest na emeryturze. Żle się jednak czuł między Niemcami... Wśród młodzieży rozszerzał on książki polskie, z których niektóre są dotąd w naszej bibliotece ludowej.

A organizacje? — Najważniejszą z organizacji był „Sokół”. Mimo, że należeli do niego przeważnie robotnicy, chętnie składali się na sprzęty, na sprzyrzady do ćwiczeń itp. „Sokół” piekarski był bardzo czynny i oddziaływał i na inne miejscowości. Z innych organizacji polskich należy wymienić towarzystwo śpiewacze „Halka” z dzisiejszych Piekar, zaś w Szarleju było towarzystwo Śpiewu „Paderewski” — dzisiaj „Wanda”. Był też związek zawodowy „Zjednoczenie Zawod. Polskie”, który w czasie powstań liczył 3 tysiące członków. Prócz spraw zawodowych interesowano się w nim szeroko wydarzeniami z życia politycznego.

Organizacjami kierowali: Sziler Franciszek, obecnie poborca podatkowy w Piekarach i Pollak Wiktor, obecny naczelnik gminy w Świętochłowicach. Członkowie organizacji brali czynny udział w życiu narodowym. Ale nie było gdzie urządzać zebrań; restauratorzy — Niemcy pozwalali wejść do siebie Polakom na piwo, ale o zebraniach nie mogło być mowy. To też członkowie schodzili się do domów prywatnych, czasem na ulicach omawiali sprawy, to znów na Kociach górkach (małe wzniesienie za Piekarami), zebrań odbywały się także u pana Głazowskiego na ulicy Kałwaryjskiej, który już poprzednio wybudował dla zebrań organizacji polskich prowizoryczną salkę. Dzisiaj na je-

go domu znajduje się marmurowa tablica z napisem: „Prześladowana, pozbawiona dachu i gościnności drużyna sokola, w tym domu w czasie niewoli, przez 10 lat zamieniała w czyn marzenia i sny o Wielkiej, Niepodległej Polsce”. Wmurowana została przez Sokół piekarski w roku 1934.

— Niemcy - mówił dalej - też mieli różne towarzystwa, a więc: śpiewacze, gimnastyczne, towarzystwo byłych wojaków i t. d. Kierownikami tych organizacji byli dyrektorzy kopalń. Urządzali oni zebrań i bogate zabawy w najpiękniejszych salach. Tak... wszędzie im było wolno...

— Acha! Bylbym zapomniał..., że piekarscy członkowie Sokola współpracowali w styczniu 1919 roku w organizowaniu P. O. W., które początkowo nazywano „Strażą Obywatelską”, potem „Związkiem Wojskowym”, i wreszcie „Polską Organizacją Wojskową”. Zawiązano P. O. W. w ten sposób, że obywatel Dryza zaprosił do siebie (do Siemianowic) obywateli tutejszych, jak p. Kałudonkę Józefa, p. Przybyłkę Jana, p. Mastalerza Stanisława, p. Pollaka Wiktora, p. Kornkiego Rudolfa, p. Renkę Wincentego i p. Tomeczyka Pawła, którym powiedział o celach i o zadaniach i wciągnął ich do organizacji. To były pierwsze początki P. O. W., której członkowie oddali wielkie usługi w powstaniach.

O przebiegu samego powstania nie chciałam go już dzisiaj pytać, widziałam, że był zmęczony, bo opowiadał z przejęciem. Ale jeszcze na zakończenie:

— Czy mógłby mi pan wyliczyć nazwiska poległych powstańców z naszej miejscowości?

— Coś około sześciu. Pierwszy, to Knapik, ale więcej nie pamiętam...

Dopiero później w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego poinformowano mnie, że w czasie powstań polegli z naszej miejscowości: Jędrus Teofil, Cieśla Konstanty, Kubica Hugon, Czadnik Edward, Knapik Augustyn, Bogacki Aleksy i Drzyzga Edmund.

— Przy kościele piekarskim, mówił dalej, są wmurowane tablice z nazwiskami poległych powstańców, zdaje mi się z kilku powiatów. A ci, co polegli z Piekar, mają osobne groby na cmentarzu piekarskim. Są one zawsze piękne ustrojone...

— Są tu może jeszcze jakieś inne pamiątki z powstań?

— Chyba ulica Powstańców: Da wniej nazywała się Parkstrasse. Oprócz tego, co pani powiedziałam, mam u siebie kilka dokumentów i pism z tych czasów, stamtąd mogła by się pani też coś dowiedzieć, więc proszę, niech pani przyjdzie je przeglądać...

Poszłam oglądać tablice pamiątkowe. Istotnie, po prawej stronie kościoła piekarskiego, na jednej z bocznych kaplic, umieszczone są trzy tablice, na których wyszczególnione

są nazwiska obywateli, którzy „za wolność ziemi śląskiej w lat. 1919-21 polegli na polu chwaly śmiercią bohaterką“ z powiatów: bytomskiego, toszecko-gliwickiego i z ziemi wielko-strzeleckiej. Na przeciwległej kaplicy wmurowano takąż tablicę z nazwiskami poległych z powiatu zabrskiego.

Liczni przechodnie z zainteresowaniem poświęcają chwil kilka, by poznać nazwiska bohaterów, którzy z tych martwych liter przemawiają do nas jakąś dziwną, tajemniczą powagą, budzą dla siebie najwyższy szacunek, uznanie i cześć. Przesuwając się gromadkami miejscowe dziećmi szkolne, poprawiają wiszące opodal zesekłe już wieńce, które naszym bohaterom zanosły w święto umarłych...

Bohaterzy ci w służbie dla Ojczyzny szli drogą, wytkniętą przez wodzów takiej miary, jakimi byli Jan III Sobieski i Józef Piłsudski, dla których pamiątkowe tablice wmurowano na wejściowych drzwiach wspomnianego kościoła.

A więc dużo, dużo jest historii w słynnej piekarskiej świątyni.

KAZIMIERZ DĄBROWSKI.

## Rok obrzędowy na Kaszubach

W okresie Bożego Narodzenia jest zwyczaj chodzenia z szopką. Chłopcy, ubrani w białe koszule, a jest trzech takich szopkarzy, chodzą od domu do domu, śpiewając staropolskie kolendy „W źłobie leży“, albo „Gdy się Chrystus rodzi“. W samą wigilię zjawiają się gwiazdory: bocian, koń, kozioł, niedźwiedź, kominiarz oraz dziad i baba. O północy według wiary ludu dzieją się różne dziwy. Woda w studni zamienia

się na wino i zwierzęta domowe rozmawiają ze sobą. Podsluchanie rozmowy grozi śmiercią. Pewien rolnik, powodowany ciekawością, poszedł o godz. 12-tej w nocy do stajni. Wtedy wół odezwał się do sąsiada: „Wiesz, te bury bracie, że za dwie niedzle zewiezeme naszego pana na cmentarz?“ A drugi na to: „Bardzo mi je żal naszego pana giesple-darza, ale łon muszy łumrzeć, błe inaczaj zdradzelbe naszą tajemnicę, a ple



dredze za wiele nas chwaleł przed le-  
dzami". Według innej wersji może pod-  
słuchać mowę zwierząt tylko taki czło-  
wiek, który jest bez grzechu. Pewien  
syn gospodarza natrafił na rozmowy wo-  
łów: „Ten nasz łona, to je dobry knop,  
błę ten nas fejn futruje”, a drugi woł od-  
rzekł: „Te łona je wiedno poszeszne łej-  
cu i matce tak, ze nigdy nie łebrazy  
Błęga, a jeżeli ten wetrwo do dredzgie  
lata w łasce, to mże przyndz znowu  
z nami rozmawiać”.

W kościele pięknie rozbrzmiewają  
kolędy polskie. Gdzieniegdzie są jesz-  
cze kolendy kaszubskie, które przez swą  
oryginalność zasługują na wspomnienie.

Gdybyś w Kaszubach był narodzony,  
Naby na sianeczku byłys złożony,  
Dałbym Ci sienniczek,  
Parę poduszek, piernat jak puszek,  
Odzież miałbyś nie lada jaką,  
Siwym barankiem czapkę bogatą,  
Sukienkę z modrego,  
Sukna kaszubskiego...  
Miałbyś Czerwone buciki  
Pod nimi gwoździki...  
Miałbyś do picia, jedzenia  
I z kim się bawienia...  
Miałbyś maluchny, nie lichą paszę,  
Piwa tucholskiego, albo kościerskiego.

W wigilię Nowego Roku lud kaszub-  
ski, jak to jest powszechne w Polsce,  
uprawia wróżby. Najpospolitszą z wróżb  
jest topienie ołowiu, celem poznania  
przyszłości, gdyż panny chętnie chcą się  
dowiedzieć o terminie zamążpójścia. Od  
Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku  
gospodarze nie mówią zboża, ponieważ  
w całej okolicy jak daleko i szeroko roz-  
chodzi się głos młockarni, zboże będzie  
miało próżne kłosa.

W poście, w niedzielę kwietnią lud  
przynosi do kościoła gałązki wierzbowe  
t. zw. palmy. Poświęconym palmom  
przypisuje się pewną moc. Ochraniają  
bowiem dom od nieszczęść, a od mieszk-  
kańców oddalają choroby i niepowodze-  
nia. Lud polski już od wieku XIV wie-  
rzy w siłę leczniczą palmy. Największa

uciechę mają chłopcy w święta wielka-  
nocne z powodu dyngusa. Biorą gałązki  
brzozowe, które już przedtem wsadzają  
do wody, aby pokryły się liśćmi. W  
czesnym rankiem udają się do chat i  
uderzają nimi domowników, otrzymując  
za to podarki. Dyngus w tej formie jest  
charakterystyczny tylko dla Kaszub i  
Pomorza, podczas gdy w reszcie Pols-  
ki znane jest oblewanie wodą. Równo-  
cześnie dzieci, podobnie jak i na Kujaw-  
wach i Mazowszu, składają życzenia są-  
siadom, śpiewając:

„Przyśliśmy to po dyngusie,  
Zaśpiewamy o Jezusie,  
O Jezusie, co zmartwychwstał.  
Alleluja, Alleluja itd.”

Znacznie więcej obrzędów można za-  
uważyć w dzień św. Jana. W noc święto-  
jańską zapala się smolne beczki na wzgó-  
rzach koło wsi, przypominając tym daw-  
ny słowiański zwyczaj, rozpowszech-  
niony we wszystkich zakątkach Polski.  
Najradośniejszym momentem jest skaka-  
nie przez dogasający ogień.

Wtedy naprawdę powstaje dużo  
śmiechu, gdy ktoś niezgrabny upadnie  
na ognisko. Według ogólnej wiary kwiat  
paproci zakwita około północy. Jeśli ma  
się ochotę zobaczyć ten cud, należy za-  
chować wielką ostrożność, bo w razie  
oglądania się lub przystawania podczas  
szukania można łatwo paść trupem. Dzie-  
wczęta dokonują wróżb miłosnych,  
w ten sposób, że rzucają wianki na  
drzewo, wierząc, że w wypadku zawi-  
śnięcia wianka na gałęzi, panna w tym  
roku jeszcze wyjdzie za mąż. W innych  
natomiast okolicach puszczają dziewczęta  
wianki do wody, które następnie  
młodzieńcy wyławiają za pomocą tyk.  
Kto miał szczęście złapać wianek, zo-  
stanie mężem tej dziewczyny, która  
wianek spłotła.

Po sobótce wielkie zainteresowanie  
budzi święto Wniebowstąpienia Najśw.  
Marii Panny. Zgodnie ze zwyczajem zna-  
nym w całej Polsce, lud przynosi do ko-  
ścioła zioła i kwiaty, aby ksiądz je poświę-

cił. Służą one jako lekarstwo na choroby ludzkie i zwierzęce.

Na wzmiankę zasługuje jeszcze święto Barbary obchodzone uroczyście przede wszystkim nad morzem. Rybacy uważają św. Barbarę za patronkę i dlatego składają na mszę św., celem uproszenia sobie dobrych połowów. Według opowiadania obraz św. Barbary ratował już często rybaków w czasie burzy. Pewnego razu wracających z kutrem z Gdańska podróżników, nawiedziła straszna burza. Zapanowały ciemności, przerywane tylko błyskawicami. Wówczas pewna rybaczka, która na szczęście miała przy sobie obraz św. Barbary,

zaczęła się do niego modlić. Nagle nad łodzią powstało światło, które towarzyszyło im aż do domu. I tak dzięki opiece swej patronki uszli cudem śmierci.

Z przytoczonych powyżej zwyczajów ludowych na Kaszubach przekonujemy się, iż nie różnią się one zasadniczo od zwyczajów z innych dzielnic Polski, oczywiście poza niektórymi pierwiastkami lokalnymi. Zaznajomienie się z ludową kulturą na Kaszubach musi pogłębić u każdego Polaka świadomość, że Kaszubi tak samo czują i myślą po polsku, jak Polacy z Lubelskiego, Krakowskiego, czy ze Śląska.

---

**Każdy uczeń powinien składać swe Oszczędności w Szkolnej Kasie Oszczędności**

---

Wydawca: Koło Krajoznawcze Gimnazjum Klasycznego w Chorzowie  
za komitet redakcyjny: dr. Jakubowski Józef,

za redakcję odpowiedzialny: dr. Jakubowski Józef

za komitet administracyjny: Kolny Ludwik, Wanat Leon i Morgała Norbert  
Odbito w „Drukarni Narodowej” Chorzów I., ul. Krzywa 14 — Telef. 406-62

# Uzupełnienie

## do sprawozdania z kursu krajoznawczego w Podegrodziu

Uzupełniając poprzednie artykuły o kursie krajoznawczym w Podegrodziu, Redakcja „Młodego Krajoznawcy Śląskiego” chciałaby swoich czytelników poinformować, że rezultaty kursu są bardzo pokaźne. Świadczy o tym między innymi około 200 referatów i 100 kartonowych rysunków, wykonanych w obozie, które znajdują się na wystawie „Ośrodka Krajoznawczego” w Krakowie. Ktoby więc sądził, że życie na kurcie upływało na zabawach i psotach, bardzoby się mylił. Na kursie bywało nieraz bardzo nawet wesoło, ale chleba się tam za darmo nie jadło, a nieraz dużo trzeba było pracować. W zorganizowanie kursu włożył dużo pracy p. prof. Staśko z Jasła. W pracy tej spotkał się p. prof. Staśko, podobnie jak i wszyscy kursiści, z nader życzliwym ustosunkowaniem się całego podegrodzkiego społeczeństwa, a w szczególności dużej pomocy i życzliwości doznał kurs od p. Przybysia, miejscowego kierownika szkoły, co też wszyscy uczestnicy kursu zachowali we wdzięcznej pamięci.

Chcielibyśmy przy tym parę słów powiedzieć jeszcze o samym Podegrodziu, ażeby uzupełnić, względnie sprostować niektóre szczegóły z poprzednich

artykułów. A więc Podegrodzie jest siedzibą gminy zbiorowej. Duży procent ziemi uprawnej przeznaczają Podegrodzianie na uprawę ziemniaków; pastwisk jest raczej nie wiele. Mimo małej urodzajności gruntów kwitnie we wsi sadownictwo i uprawa warzyw, wywożonych do odległych nawet miejscowości letniskowych. Sklepów na terenie Podegrodzia jest 3, z których najważniejszym jest sklep, będącym filią Składnicy z Nowego Sącza. Ów ciekawy, opisany poprzednio, dom gliniany należy do Ignacego Ciągły. Jeśli chodzi o domy podegrodzkie, to przeważnie są kryte nie gontami, ale słomą, dachówką lub blachą. Słynnym miejscowym rzeźbiarzem i majstrem do wszystkiego był Jan Kwołka, którego rzeźby dotarły nawet do muzeum w Krakowie. P. Czernkowski, o którym autor poprzedniego artykułu wspomina, jest inteligentem szlacheckiego pochodzenia. Studia odbywał w Krakowie, a jakiś czas przebywał na obczyźnie, w Ameryce. Informacje o jego młodości są niesłuszne.

To byłoby parę słów uzupełnienia poprzednich artykułów z kursu w Podegrodziu.

---

---

## Stare przysłowie ludowe mówi:

**„Ziarno do ziarnka,  
a będzie miarka“.**

więc składajcie Wasze oszczędności w

## Szkolnej Kasie Oszczędności

---

---

Oszczędnością i pracą  
Ludzie się bogacą.

a Ty

**CZY NALEŻYSZ JUŻ DO S. K. O.?**

---

---

Instytucja popularnego bezpieczeństwa

**Komunalna Kasa Oszczędności**

---

**MIASTA CHORZOWA**

zapewnia:

najwyższy procent i największe  
bezpieczeństwo, gdyż za nią rę-  
czy i odpowiada miasto całym  
majątkiem i siłą podatkową.  
Przyjmuje się wkłady oszczęd-  
nościowe już od 1-go złotego.

Centrala:

**CHORZÓW I**, ulica Moniuszki (naprz. poczty)

Oddział:

**CHORZÓW III**, naprzeciw kościoła.

Kasa czynna:

od godz. 8 do 13 i od 17 do 19, w sobotę do godz. 12